

Czesław Michniak

KORESPONDENCI

Do hotelu miejskiego na drugie piętro (pierwsze zajmuje jakieś biuro brudne i ciemne, chyba PSS-u), trzeba wchodzić się po trzeszczących, drewnianych schodach. Dopiero wyżej jest jasno, schludnie. Hotel.

W portierni za dużą szybą widzę ją w wielkich okularach na oczach, z książką w ręku. „Miasto niepokonane” Brandysa.

Wypisuje kartę meldunkową.

— Pan z „Głosu”?

— Tak.

— Jestem waszą korespondentką. Suska... Właśnie piszę artykuł. Ale coś się nie klei — wskazuje kartkę papieru, na której ołówkiem chemicznym skreśliła kilka zdań.

Mówi akcentem nietutejszym: — Pani jest wielkopolanką?

— Nie, pochodzę z Warszawy, gdzie się wychowałam. Ojciec był inżynierem. Mieszkaliśmy w śródmieściu. — Chwilę milczy.

— Potem wojna, powstanie... Wszystko się spaliło, rozumie pan, wszystko — oczy za szklami nie zmieniają swego wyrazu ale głos jej drży. — Straciłam rodziców... W Oświęcimiu. A ja przesłam Ravensbrück. Spotkałam się z Ilzą Koch... Tego się nie zapomina...

Znów przerwała na chwilę, jakby zbierając myśli.

— Teraz buduje się życie od nowa i tęskni za Warszawą — westchnęła leciutko.

— Odpowiada pani ta praca w hotelu?

— W zupełności. Jestem sama. Zarabiam tylko na siebie. W wolnych chwilach czytam, chodzę do kina. Ładne mamy kino w Międzychodzie. Czasami przyjeżdża teatr z Gniezna. Grają dobrze, ostatnio byli u nas ze „Ślubami panieńskimi”. Sztuka ta cieszyła się tutaj wielkim powodzeniem. A wracając do kina, to bardzo lubię bajki radzieckie — rzekła i pierwszy raz od chwili rozpoczęcia rozmowy, zobaczyłem jej uśmiech.

Anna schyliła się nad korespondencją.

— Mam teraz taką przykrą sprawę pewnej kobiety, której chciałabym pomóc. Idąc na dworzec, niech pan wstąpi, i zobacz jak ona mieszka. Nazywa się Wójcikowa — podała mi jeszcze nazwę ulicy i numer domu.

— Tej kobiecie się na głowę leje. O tym przed wojną nie pomyślałabym — powiedziała szczerze, jakby ucieszona z tego odkrycia.

— Niech pan tam zajrzy — powtórzyła z prośbą w głosie. Pochyliła się z troską nad rozpoczętą korespondencją. Obok leżała owinięta pieczętowaną papierem książka o niepokonanym mieście.

Halina jest w złym humorze. Otrzymała właśnie zaproszenie na odprawę korespondentów Polskiego Radia do Poznania. Leży sobie biała, zadrukowana kartka, a Halina bełbni po niej nerwowo palcami.

— Wyjechać z Międzychodu, to moje marzenie, nie chcę tu być! Wyjechać do Poznania, Wrocławia, byłoby jak najdalej od tej szarpaniny...

Zniechęcenie?

Za oknami rozmazywał się we mgle rynek powiatowego miasteczka. Otaczające go kamieniczki upodabniały się do olbrzymich cieniów, nieokreślonych kształtów i wielkości.

Często herbatą — nie herbatą z jakichś aromatycznych ziół, którą na tacy wniosła z powagą gospodyni, siwutka staruszka.

— Krytykuje się bolączki komunalne. Na zebraniu przedwyborczym zaatakowałam tym razem nie przez mikrofon, bo ja proszę pana jestem w radio-
wele redaktorką i lektorką, ale z mównicy porządku w mieście, chociażby taki fakt, że na



ulicach są kocie łby a kostkę nasze miejskie prezydium odprzedało Szamotulom, nie wiadomo po co i na co.

Wstrząsnęła ramionami, po czym podparłszy się rękami brodę popatrzyła na mnie z uwagą. Rzekła spokojnie:

— Prowadzimy rubrykę „Spacerkiem po Międzychodzie”. Niech pan dorzuci sobie cukru, tę herbatę trzeba mocniej słodzić. Ludzie zaczynają mnie na ulicy i pytają: „A kogo będziecie mieli jutro na

antenie? A może tego obywatela, który upija się co sobotę, a może dyrektora kina, która chce wykonać plan toleruje obecność młodzieży na filmach niedozwolonych?”... Przyzwyczajali się do krytyki.

W głosie Haliny Bojko wyczułem zadowolenie.

— Tunel na dworcu kolejowym zalewa po deszczu woda — sięgnęła po nowy fakt. — No i powiedzieliśmy (odniosłem

pan — klapnęła ręką o stół — nie mają oni takiego respektu przed MO, jak przed radio-
welem...

— Mamy tutaj jeszcze taką sprawę, ciągnącą się niczym guma do żucia — kontynuowała. Zmieniła ton głosu. — Uważaj pan, powiat międzychodzki zajął przed dwoma laty we współzawodnictwie ogólnopolskim SFOS pierwsze miejsce. W nagrodę otrzymaliśmy 600 tysięcy złotych na jakąś inwestycję według uznania powiatu. Wyobraź pan-sobie, do tej pory jeszcze się nie namyślił. Pieniądze leżą w banku, a tutaj nasze prezydium PRN i „powiatowa odbudowa Warszawy” niezdécydowane. Raz to, raz tamto — powiedziała z pasją.

Znowu zjawił się cień szarpaniny. Zapadła cisza. Mgła za oknem szarzała, ukazał się natomiast żółty, nieruchomy punkcik. Latarnia, oświetlająca wejście do radiowe-
za.

Gdy po chwili podniosła wzrok, wyczytałem w nim upór. Nie, nie wyjedzie. Tyle jeszcze spraw pozostało do załatwienia...

Oto trzeci z nich. Zbliżyła się do głośnika na Rynku, ubrana w ciemną jesionkę maręgo. W okularach. Jak się za chwilę dowiaduję pracę w Centrali Ogrodniczej. Wsluchujemy się razem z grupką entuzjastów w słowa spikera, usiłującego przekrzyczeć widownię, bo akurat Milewski pokonał Ninivuori.

Mike Quin

Oskar chce wiedzieć...

Mr. J. Fungus Finklebottom usiadł wygodnie w swym ulubionym fotelu, nałożył okulary i wziął wielką gazetę.

„Papo” odezwał się mały Oskar Finklebottom, „co oznacza „możliwość interesu”? „Daj mi spokój, lepiej idź bawić się tym pociągami elektrycznymi” odpowiedział Mr. J. Fungus.

„Wyjaśnij dziecku” z perswazją odezwała się Mrs. Finklebottom. „On jest twym synem i dziedzicem. Nie powinien zbywać go w ten sposób”.

„Czemu ty go tak dziwnie nie ubierasz?” w odpowiedzi zapytał J. Fungus. „Drażni mnie jego wygląd”.

Oskar był odziany w ubranie kozyte na modę małego Lorda Fauntleroy. Chłopiec był zezowaty i nosił duże okulary.

„Ależ on w ten sposób odróżnia się od innych dzieci!” odparła Mrs. Finklebottom. „Powinieneś być dumny z niego”.

„Papo” odezwał się ponownie mały Oskar, co to jest „możliwość interesu”?

„Możliwość interesu” jest to szansa zrobienia pieniędzy. No, idź już i baw się piłką” wyjaśnił J. Fungus.

„Papo, jak ty robisz pieniądze?” zapytał znowu Oskar.

„Odpowiedz mu” znowu zachęcała męża Mrs. Finklebottom. „Dziecko pragnie się uczyć”.

„Zrobisz pieniądze robiąc byznes” wyjaśnił J. Fungus wciągając czytając trzy maną w ręku gazetę.

„Papo czy każdy może robić byznes?”

*) Mike Quin jest współczesnym pisarzem amerykańskim.

„Z pewnością każdy może robić byznes”.

„A jeżeli wszyscy będą robić byznes, czy wszyscy będą byznesmenami?”

„Tak synku, jeżeli wszyscy będą robić byznes, to wszyscy będą byznesmenami”.

„A kto wtedy będzie pracował Papo?”

„Na miłość Boską, Amelia, każ temu dziecku iść bawić się jego sionem. Ja nie mogę przeczytać mowy Deweya”.

„Odpowiedz mu” prosi Mrs. Finklebottom. „On pragnie się uczyć”.

„Kto będzie pracował Papo?” nalegał Oskar.

„Każdy nie może robić byznesu” odpowiedział J. Fungus.

„To byłoby niemożliwością”.

„Ale ty mówisz przecież, że wszyscy mogliby robić byznes” nieustępliwie odparł mały Oskar.

„Nic podobnego nie mówię” rzekł J. Fungus.

„Tak, ty mówisz” rzuciła Mrs. Finklebottom. „Odpowiedz dziecku”.

„Więc jeżeli wszyscy nie mogą robić byznesu?”

„Czemu nie Papo?”

„Ponieważ wszyscy nie mają pieniędzy”.

„A gdyby wszyscy mieli pieniądze czy mogliby?”

„Z pewnością”.

„Więc jeżeli wszyscy mieli pieniądze i wszyscy robiliby byznes czy wszyscy byliby byznesmenami?”

„Tak wszyscy byliby byznesmenami”.

„A kto by wtedy pracował, Papo?”

„Amelia, jeżeli nie powiesz temu dziecku, by poszło pojeździć na swym trójkołowym rowerku, to je utopię!”

„Odpowiedz mu Fungus, on łaknie wiedzy”.

„Kto by wtedy pracował Papo?” dopytywał Oskar.

„Wszyscy nie mogą być byznesmenami” krzyknął Fungus ze złością.

„Nawet wtedy gdyby wszyscy mieli pieniądze?” pytał dalej Oskar.

„Nawet wtedy gdyby wszyscy mieli pieniądze” rzekł J. Fungus. „Ktoś musi pracować. Poza tym ilość byznesów do zrobienia jest ograniczona”.

„Ilu ludzi może być byznesmenami Papo?”

„No, może jeden na tysiąc, może jeden na pięćset. Coś w tym rodzaju. Widzisz synku, ty nie możesz być byznesmenem, jeżeli nie masz robotników. Stąd na każdego byznesmena musi przypadać od dziesięciu do stu lub nawet do tysiąca robotników”.

„Ilu robotników masz Papo u siebie?”

„No, my jesteśmy wielką spółką, Oskarze. My mamy 10 000”.

„Więc większość ludzi nie ma żadnej możliwości interesu, nieprawdaż, Papo?”

„Co ty wygadujesz. W Ameryce każdy człowiek ma jednakową możliwość”.

„Ale Papo, jeżeli nieliczni mogą być byznesmenami, co ma robić reszta?”

„Oni mogą być byznesmenami o ile wykażą inicjatywę”.

„Ależ ty powiedziałeś, że tylko nieliczni spośród nich mogą być byznesmenami. Zatem większość musi być robotnikami”.

„To prawda synku, a teraz biegnij poczytać jakąś ciekawą książkę”.

„A więc większość ludzi to są robotnicy, którzy będą zawsze robotnikami i oni nigdy nie będą byznesmenami nawet gdyby chcieli, nieprawdaż Papo?”



Bogaty był plon VII Ogólnopolskiego Konkursu Fotograficznego zorganizowanego przez Komitet dla Spraw Turystyki i Zarząd Główny PTT-K przy współudziale Związku Polskich Artystów Fotografików. Wzięło w nim udział aż 125 autorów przysyłając rekordową liczbę 1003 prac. Zgodnie z hasłem konkursu „Turystyka dla mas” — nadesłane zdjęcia ukazywały osiągnięcia ludowej turystyki w minionym dziesięcioleciu.

Wśród nagrodzonych prac znalazły się piękne fotografie znanego artysty fotografa z Poznania Maksymiliana Myszkowskiego. Otrzymał on II nagrodę za 7 prac na temat „Wycieczki na wczasach FWP”.

Powyżej reprodukowujemy dwie spośród nagrodzonych prac.

On proponuje: „Chodźmy do mnie”. Zgadaliśmy się na temat „czy lepiej sierpowym czy podbródkowym” i z tego tytułu przypadliśmy sobie do gustu. Przemykamy jakąś wąską uliczką. Potem idziemy przydługą sienią. Oficynka w podwórku. Mieszkanko dwupokojowe i zimne. Przedstawia żonę opatuloną w swetry, na głowie ma ciepłą chustkę.

— Widzicie moje mieszkanie bez pieców — wyjaśnia — ta-

kie mi przydzielono. Widocznie Prezydium MRN nie zaplanowało... zimy. —

Bierze na ręce synka, który się na mój widok rozplakał. Na stole jakieś stare gazety, biuletyn kwartalny „Gazety Poznańskiej” dla korespondentów, gazeta powiatowa datowana 5 grudnia. Pokazuje artykuł o Międzychodzie podpisany „Jan Nogajewski”. To właśnie on.

— Zaopatrzenie, proszę pana, u nas szwankuje. Kulacy sabotują dostawy mleka a masło sprzedają na wolnym rynku podnosząc cenę do 80 złotych. Ot i ma pan związek przyczynowy. A ja właśnie to zwalczam — zapala się. — Jakże bym mógł inaczej. Siedzieć cicho, godzić się ze złem, znaczy popierać. Przekonałem się o tym w czasie wojny. Okupant budował swoje „ausrotten” na bierności Polaków...

Opowiada swe wspomnienia. Pochodzi z Ponieca. W okresie wojny — był kilkunastoletnim chłopcem. Władze hitlerowskie usiłowały namówić wiele rodzin polskich do podpisania volkslisty, na co Nogajewski i jego koleżdy odpowiedzieli kolportażem „Krzyżaków”. O wynikach tej akcji mógłby najlepiej powiedzieć Leiter der Abteilung für Volkswesen, którego za „nieudolność” wysłano pod Stalingrad. Chłopcy zagranicą przykładem Zyndrama z Maszkowic sfabrykowali sobie tekturowe broje i miecze z drzewa. Ale sprawa przybrała obrót niepomysłny i młodego Nogajewskiego wraz z kilku innymi rycerzami wywieziono do „Strengstraflager in Lipno bei Leslau”, gdzie doczekali wyzwolenia.

— Widzi pan już wtedy się „działało”... — prostuje się. Jest wysoki, nieco wymizerowany. Nie dziwnego — przechodził niedawno ciężką operację. Jutro o czwartej jedzie służbowo do Poznania. Przed tym ma nocny dyżur w biurze. A teraz dochodzi 23.

Wyjmuje z teczeki manuskrypty korespondencji pisane zielonym atramentem na arkuszach w kratkę. Odczytuje mi te korespondencje wolno, z przejęciem, jakby przeżywał pisanie po raz drugi. Jestem pewien, że z tym samym uczuciem czytał kolegom Sienkiewicz.

— Niech pan pomyśli, kolejka pod mleczarnią, czy to nie wstyd dla nas? — mówi gorąco. — Psiekość, wezmę sobie robotę do biura...



„Ależ z pewnością oni mogliby... Nie, sądzę jednak, że oni nie mogą być byznesmenami. Skąd się biorą u ciebie takie myśli, synku?”

„Więc jeżeli większość ludzi to są robotnicy, którzy zawsze będą robotnikami, to oni nigdy nie będą mogli zrobić pieniędzy, nieprawdaż?”

„Tak, gdyby mieli dostętną zapłatę, gdyby... — Amelia, czy nie czas położyć to dziecko spać?”

„Jeżeli większość ludzi to są robotnicy, którzy na zawsze pozostaną robotnikami, to jedyną drogą do zarobienia przez nich pieniędzy jest większa płaca. Nieprawdaż Papo?” zapytał nieublagany Oskar.

„Amelio”, zawołał J. Fungus, „Ja nie chcę wierzyć, to jest ja nie powinienem tak mówić, ale to nie jest dziecko. On jest upiorem. Jeżeli on jest tym synem to...”

„Odpowiedz na jego pytania” rzekła Mrs. Finklebottom. „Dziecko chce się uczyć. On łaknie wiedzy”.

Z angielskiego przełożył

L. Cz.



TRYKAJĄ NIE TYLKO NA WIEŻY RATUSZOWEJ

Mały, zadymiony lokal Klubu Pracowników Kultury; przy stolikach pełno; niewielkie podwyższenie (estrada) u wejścia ku bardziej dyskretnym częściom klubu; zamiast kurtyny — kotara (w paski); żadnych dekoracji poza dwoma białymi koziołkami na czerwonym polu — oto oprawa nowego (o hańbo dla kulturowi) kabaretu literackiego stołecznego miasta Poznania. No i możemy dać ponurakom pojętego przytyka w nos. Nie udało się im uśmiercić słabości satyry poznańskiej. Przecież ona trochę kataralnej grypy, anemii, brak ciałek rzetelnego humoru we krwi, lecz teraz, proszę państwa, poza nią poważna część niedomaga.

„Nieślubne” dzieło poznańskiej literatury ku zgromadzić, nie jest Poznań żadnym satyrycznym grą dołem, skoro go stać na celną satyrę bez zamiejskowych wypomóżek oraz importu realizatorów programu. Tak więc, możemy powiedzieć śmiało, że wiara we własne siły jest podstawą sukcesu „Koziołków”.

Z tej wiary wynikły dalsze konsekwencje. Przemysłowo charakter programu. Nie silono się na zrobienie cwiartki teatru, a zmontowano całość wieczoru przede wszystkim w oparciu o słowo. Tekst górny nad wszystkim, a główną troską wykonawców jest podanie go w sposób zrozumiały dla widza. W tym właśnie kierunku sterowała konferansjerka Z. JASKIEGO. Można powiedzieć, że dotąd żaden poznański konferansjer nie stosował takiej metody: w ogóle nie liczyć na glerki, na gesty — tylko tekstem wywoływać śmiech lub nawet oklaski w czasie zapowiedzi. Zresztą nazwanie konferansjerki Jaskiego „zapowiadaniem” byłoby nieścisłe — to jest osobny, samodzielny numer programu ciągnący się przez dwie godziny, ani przez moment nie nutający, satyryczny, pobudzający do myślenia — a o to przecież chodzi. Także inni wykonawcy dopasowali się do charakteru „kabaretu literackiego”. J. CHODACKI i E. KOTARSKI nie ulegli ani jednej pokusie szarży. Recytowali z umiarem, zresztą punktując wszystkie dowcipy. Młodsza generacja aktorska spisała się na „płatkę”. Okazało się bowiem, że ZOFIA STREER jest utalentowaną plectniarką estradową, o bezpretensjonalnym, lecz wziętym głosie i dużych umiejętnościach interpretacyjnych, jakiej było nam dotąd w Poznaniu brak. Całkowicie zdumiał nas Z. SŁOWIŃSKI, oczywiście w jak najbardziej pozytywnym stopniu. Młody ten aktor posiada bowiem zastanawiające warunki głosowe. W bardzo dobrych parodiach operowych „Uprowadzenie Waleriana” (autor T. H. Nowak) chwilami mieliśmy tylko zastrzeżenie, czy nie śpiewa on zbyt... serio, a więc za dobrze (Tosca). Tak samo w drugiej, dowcipnej parodii Z. JASKIEGO pt. „Zemsta II” będącej wynikiem z przygotowanej przez tego autora komedii, Słowiński był kapitalnym Babkinem. Brak miejsca nie pozwala omówić wszystkiego. Powiedzmy więc, jednym słowem, że poza utworem o pani Loli swobodnie wiersze W. DEGLERA, recytowane przez autora, i monolog „Pociąg” J. MIKOŁAJCZAKA, i „Wizualny” numer rysunkowy H. DERWICHA z celną pointą końcową, kuplety finałowe i JANINA RATAJSKA jako partnerka w „Uprowadzeniu Waleriana” — wszystko to razem mogło być powodem pełnego zadowolenia.

Po głośnym „Koziołków” trzeba jednak jeszcze raz „trykać”. Wydaje się bowiem, że „Radłowa pogadanka o wsi” bez żadnej szkody można by sobie podarować, a niektóre recytacje bardziej przygotować pamięciowo. Głośny śmiech suflerski słychać było do połowy sali, a widz odbierał podwójną dawkę programu, który — dodałmy końcowy cukierek dla ostry — wart jest... słonych kosztów wieczoru.

Mały, zadymiony lokal Klubu Pracowników Kultury; przy stolikach pełno; niewielkie podwyższenie (estrada) u wejścia ku bardziej dyskretnym częściom klubu; zamiast kurtyny — kotara (w paski); żadnych dekoracji poza dwoma białymi koziołkami na czerwonym polu — oto oprawa nowego (o hańbo dla kulturowi) kabaretu literackiego stołecznego miasta Poznania. No i możemy dać ponurakom pojętego przytyka w nos. Nie udało się im uśmiercić słabości satyry poznańskiej. Przecież ona trochę kataralnej grypy, anemii, brak ciałek rzetelnego humoru we krwi, lecz teraz, proszę państwa, poza nią poważna część niedomaga.

Mały, zadymiony lokal Klubu Pracowników Kultury; przy stolikach pełno; niewielkie podwyższenie (estrada) u wejścia ku bardziej dyskretnym częściom klubu; zamiast kurtyny — kotara (w paski); żadnych dekoracji poza dwoma białymi koziołkami na czerwonym polu — oto oprawa nowego (o hańbo dla kulturowi) kabaretu literackiego stołecznego miasta Poznania. No i możemy dać ponurakom pojętego przytyka w nos. Nie udało się im uśmiercić słabości satyry poznańskiej. Przecież ona trochę kataralnej grypy, anemii, brak ciałek rzetelnego humoru we krwi, lecz teraz, proszę państwa, poza nią poważna część niedomaga.

SHOCKING

czyli amerykańska droga do Mussoliniego

Zaczęło się humbugiem, niczym kampania reklamowa nowej pasty do zębów „którą używa boska Rita Hayworth”. Wielka akcja propagandowa głosiła każdemu kto chciał i nie chciał o dokonaniu w Ameryce „kopernikańskim przewrocie w filozofii”, o wynalezieniu praktycznej amerykańskiej filozofii narodowej, zwanej „amerykańską drogą życia”. Maksyma byznesmenów „rób to co się opłaca” została zastosowana w filozofii, psychologii, pedagogice, historii i nawet prawie. Pragmatyzm stał się w USA filozofią panującą, wykładaną na uniwersytetach, reklamowaną przez prasę i radio.

Racja bytu poszukiwana

Narodził się w końcu XIX wieku. Kapitalizm amerykański, przeradzający się w owym czasie w imperializm, powodował zaostrzenie konfliktów między klasą robotniczą, a kapitałem. Proletariat przemysłowy wyłonił swój własny ruch lewicowy i dawne środki ideologicznego oddziaływania — przestały oddziaływać. Trzeba było szukać sposobów nowych. Chodziło o to, aby zbyć słabą w nowych warunkach ideologię klasy panującej, podprzeć nowymi ideami, znaleźć po prostu rację bytu dla kapitalizmu.

W 1878 r. ukazał się pierwszy program pragmatyzmu, filozofii, która jawnie wyrzeka się starych dogmatów o równości i wolności. A oto garść poglądów amerykańskich pragmatystów:

Człowiek powinien działać, reagować należy szybko i bez rozmyślań. Świat pragmatystyczny jest światem czystego doświadczenia. Rozum posiada w nim jedynie funkcję konstrukcyjną. W twierdzeniach ludzi nie ma żadnej obiektywnej prawdy o rzeczywistości, jedynie subiektywna wiedza jak zachować się w danej sytuacji. Bo życie człowieka to szereg sytuacji, z których stara się on wyjść w sposób dla siebie najkorzystniejszy. Wartość poznania mierzyć więc trzeba przydatnością poznania do pozbywania człowieka kłopotów. Jedynym „upartym” to jest niezłomnym od woli człowieka faktem, jest „strumień czystego doświadczenia”. Prawda i prawa natury są czymś absolutnie płynnym. Filozofia po-

winna więc jedynie orzekać jaką skuteczność — z punktu widzenia działania człowieka — ma odrzucenie lub przyjęcie danej formuły za prawdziwą. Zakorzeniony w Europie estetyzujący indywidualizm starej kultury trzeba zamienić na indywidualizm czynny. Nauka jest jednym z instrumentów człowieka działającego, „służką jego byznesu” — pod warunkiem, że pozostaje przy faktach, że nie pozwoli się jej na uogólnienia i spekulacje.

Pochwała drapieżców

Jak oceniać ten system filozoficzny?

Pragmatyzm to przede wszystkim chwalebna działalność, przedsięwzięcie i sukces. „To co się opłaca” wynosi pragmatyzm i ponad rzeczywistość i ponad naukę. Nawet rozwój i postęp sprowadza pragmatyzm do „szeregu korzystnych transakcji”. Metność i pogarda dla logiki oraz rozumu, to dalsze cechy pragmatyzmu. Filozofia zostaje tu sprowadzona do gieldzarskiego obowiązku robienia tego co jest korzystne. Pragmatyzm obniża znaczenie i rolę teorii, sprowadzając ją do rozwiązywania jedynie wąskich aktualnych zadań i zakazując wyższych aspiracji. Likwidując obiektywną rzeczywistość i utożsamiając prawdziwość twierdzeń z ich użytecznością praktyczną, pragmatyzm wulgaryzuje praktykę, którą uważa za jedyną znaczącą w powodzeniu. Pragmatyzm walczy z materializmem, ponieważ ten uznaje przyczynowość, „poddaje” ludzkość działaniu obiektywnych praw oraz procesów i „nie po-

zostawia szansy”. Materializm wróży zagładę — wołał pragmatysta James. I rzeczywiście — materializm nie pozostawia szansy... kapitalizmowi. Istotnie wróży zagładę... staremu światu imperialistycznej chciwości i egoizmu.

W gruncie rzeczy pragmatyzm nie jest niczym nowym. To po prostu nowa nazwa dla pewnych, dawnych sposobów myślenia, subiektywny idealizm w nowym przebraniu, to przystosowany do amerykańskich warunków neopozytywizm z dodatkowym smaczkiem irracjonalizmu. To wreszcie „partyjna filozofia burżuazji” imperialistycznej, pochwała drapieżców i agresorów.

„Jemu zawdzięczam moje sukcesy”

A jakie owoce przyniósł ten system filozoficzny w praktycznym działaniu?

Po rozpoczęciu wojny koreańskiej, New York Times ogłosił artykuł pt. „Jak prezydent podejmuje decyzje”. Artykuł ten miał wykazać, że Truman jest pragmatystą i kończył się stwierdzeniem: „Mr. Truman jest pragmatystą”.

Eisenhower uważa się również za pragmatystę. Jego opublikowane rozważania wyglądają jak następujące: „Czy przyniesie mi to korzyść, kiedy przystąpię do wojny, czy nie? Jeżeli będę sądził, że zysk będzie po mojej stronie — użyję bomby atomowej niechcący”. Oto praktyczna ilustracja tezy: rób to co się opłaca.

John Rockefeller dał wypowiedzieć bardzo charakterystyczną dla klasowych natchnień pragmatystów: „Wierzę w to, że zdolność gromadzenia pieniędzy jest darem Boga. Obdarzony tą zdolnością uważam za swój obowiązek gromadzić pieniądze, coraz więcej pieniędzy”.

Entuzjasta Nietzschego, F. Schiller, jeden z teoretyków (Dokończenie na str. 8)

Ze starych szpargałów

Niesmaczne pieczone

W roku 1746 w Poznaniu ukazało się II wydanie „poezji” ks. Hilarego Falęckiego, obejmujące 400 stron, pt. „Wojsko serdecznych noworekrutowanych na większą chwałę boską afektów”.

Oto wyjątek:

Twarze podrapane, włosy [rozrzucone].

W rekwalnie barwy,

Strojne strasydła i larwy.

Jak wędzonki przydymione.

Ciała na węgiel spalone

Przez ognie wieczyste

O jakie niesmaczne tam [będzie pieczone].

O wieczności, wieczności!

Ładne perspektywy — co?

Tak zwane „bykowe”

W XVIII wieku każdy bezzębny młody majster kra- wiecki w Krobi musiał stawać bezczkę piwa starym majstrom. Był to — jak pisze prof. P. T. Szulc (w Kronice Gostyńskiej z 26. 12. 1929 r.) — pewnego rodzaju podatek kawalerski.

Nazywano go „bykowym”.

Ale w roku 1761 stała się w Krobi rzecz straszna. Młodzi krawieccy majstrowie odmówili „bykowego”. Na czele zbuntowanych stanął Franciszek Niewitecki. „Tego, który ten punkt podał do prawa, głównym pi- jakiem go był osądził i nawet po kilka razy w Bractwie twierdził, że punkt ten pijak zjawiał”. Sprawa oparła się o sąd biskupi. Młodzi nie ustąpili i wygrali.

Dodać trzeba, że „bykowe” obowiązywało i w innych cechach, na przykład w Kościanie, o czym wspomina Kohler w swojej rozprawie „Dawne cechy”.

W. St.

Na południe od Dunaju⁽⁷⁾

Wstać wcześniej i wy- mknąć się samotnie na miasto, za- nim w hotelu po- dadzą śniadanie — jest pokusą zbyt wielką, by jej nie ulec. Prze- bija w tej ekstrawagancji róż- nieważnie czysto prozaiczna chęć wykorzystania każdej godzi- ny pobytu w bułgarskiej sto-

jezdni wygląda z rana jak posadzka w łazience. Jeszcze wielu mieszkańców przeciąga się pod kołdrami, gdy ulice zmywają strumieniem wody z licznych hydrantów. Ranna i wieczorna toaleta usuwa brud z jezdni i chodników, przeciwdziałając tworzeniu się kurzu, tak przykrego w Bułgarii w długich bezdesz-



Teatr Narodowy w Sofii

licy. Serdecznie mało czasu — bo tylko półtora dnia — wypadło w wycieczkowym harmonogramie na obejrzenie Sofii.

A więc nogi za pas — i do miasta. Idę prosto przed siebie, bez żadnego planu, pcha- ny uczuciem niespokojnej ciekawości, jakie ogarnia każ- dego, kto w obcym mieście znajdzie się po raz pierwszy.

Taka bezcelowa wędrówka na miasto (bo nawet nie ma kogo o drogę pytać) jest świetną okazją do poczynienia pewnych porównań. Gdy się patrzy na jasne, przestronne bloki śródmieścia, głośne porannym słońcem, przypomina się Warszawę. U nas też takie domy... A gdy z wysokości 5 czy 6 piętra opuszcza się wzrok na jezdnię, przypomina się... Warszawa U nas takich czystych ulic nie ma!

Bo w Sofii chodnik czy

czowych miesiącach lata i jesieni.

Poranne spotkanie

Na rogu ulicy rozstawia stolik sprzedawca gazet. Amatorów prasy jeszcze nie wi- dać, ja jestem pierwszy, któ- rego zdvih gazetciarz, trud- nio się wykreślić od kupna. Największa sterta zajmuje na stoliku „Rabotnicesko Delo”, najbardziej — jak się dowiaduję — poczytne pismo codzienne Bułgarii. Obok mieni się kolorowa okładka tygodnika „Nasza Rodina” (przypominająca trochę nasz „Świat”, tylko mniejsza w formacie) oraz wabi obraz- kami pismo satyryczne „Styr szel” (Szerszeń).

Zjawiają się pierwsi klien- ci, czas kończyć krótka roz- mowę z przedstawicielem bu- łgarskiego „Ruchu” (porozu- mieć się można, bo według mnie język bułgarski jest do

polskiego bardzo podobny. Na przykład „mole” — zna- czy proszę, „czasownik” — zegarek, a „bulka” — żona...). Na skrzyżowaniu ulic dostrze- gam wysmukłą sylwetkę mi- licjanta, postawionego tu dla regulowania ruchu. Aż żal patrzeć, jak biedaczysko nu- dzi się, bezskutecznie wypo- trządując orlim wzrokiem jakie- gokolwiek pojazdu mecha- nicznego. W Sofii aut jest jeszcze bardzo mało, a już w niedziele „regulować ruch” to szczyt imaginacji. Wieczorem — głównymi ulicami miasta nie wolno jeździć autem i autobusom. Chodniki i cała jezdnia zajmują tłumy mie- szkańców, zażywających prze- chadki i oglądających wy- stawy.

„Puszczona za szybko taś- ma filmowa” — tak można by określić nasze oficjalne zwiedzanie Sofii przy pomocy pięknego autokaru i niemiłej pięknej przewodniczki „Ba-

kanturista”. Z dużej ilości obrazów i zbliżeń na emulsji owej taśmy zachowały się tyl- ko niektóre, jak na przykład rozmach architektoniczny gmachu Uniwersytetu (naj- większy budynek na Bałka- nie), bogactwa Muzeum Ar- cheologicznego, egzotyka tu- reckiego meczetu, przepych mrocznego wnętrza wspania- łej cerkwi „Aleksander New- ski” (wzniesionej podobnie jak pomnik przed gmachem parlamentu na cześć „cara- sobodzieciela” Aleksandra III), las rusztowań nowo- wznoszonych gmachów (m. in. największego w kraju siedmiopiętrowego hotelu), wspaniały owal nowego sta- dionu sportowego na 45 tys. widzów, czy wreszcie monu- mentalność pomnika-olbrzy- ma, poświęconego pamięci żołnierzy radzieckich.

Niezapomnianym fragmen- tem tej filmowej taśmy po- pięknej przewodniczki „Ba-

Notatnik F.I.L.M.O.W.V

Aleksander Ptaszko, którego pamiętamy jako twórcę „Sad- ki”, przystąpił do ukończenia filmu panoramicznego (filmy te wyświetlane są na specjalnym szerokim ekranie — z czego o- statnio tak wiele szumu robiła kinematografia na Zachodzie). Tytuł roboczy filmu Ptaszki brzmi: „Ila/Murmoie”.

Najmłodszy miłośnik filmu z zadowoleniem powitał wiadomość, że dla nich przygotowuje się obecnie kilka nowych filmów. Tytuły brzmią: „Wkradanie króla Suma”, „Ukane łakom- stwo” oraz „Pani Twardowska” — według projektów plastycz- nych J. M. Szancera. W robocie są również filmy kufkiełkowe: „Cyryl” i „O małym Mateuszku i Duszu-Kocemoluszu”.

Nakładem FAW ukazały się o- statnio scenariusze do filmów: „Piątka z ulicy Barskiej”, „Au- tobos odjeżdża o 6.20” oraz sce- nariusz radzieckiej bajki rysun- kowej — „Miś na lodzie”.

J. MIL.

Węzły gordyjskie matematyki

I Euklides się myli...

Słynny matematyk Poincaré na pozór paradoksalnie ma-
luje tę sytuację, kiedy oświad-
cza, że nie ma w matematyce
zagadnień nierozwiązal-
nych i nie ma też rozwiąza-
nych, ale istnieją tylko za-
gadnienia mniej lub więcej
rozwiązane. Wskażmy na
słynny w geometrii pewnik
Euklidesa, datujący się
sprzed około 23 wieków. Jak
wszelki pewnik geometrycz-
ny, zaczerpnięty został przez
genialnego Greka z obserwa-
cji otaczającego go świata i
jako opisujący okoliczność
najbardziej „oczywistą”, nie
legitymuje się żadnym dowo-
dem. Dla ucznia ósmej klasy
wypowiadającego ów pewnik:
„Przez punkt, nie leżący na
prostej, można przeprowa-
dzić tylko jedną prostą do
niej równoległą” — wydaje
się wprost nierozsądnym, aby
z takim patosem obwieszczać
fakty najoczywistsze dla
„normalnego” człowieka.
Tymczasem, posługując się w
doświadczalnej kontroli praw-
dziwości tego pewnika naj-
znakomitszymi nawet instru-
mentami, musimy w warun-
kach ziemskich bezradnie o-
puścić ręce. Przy niewielkich
odległościach, na jakie bo-
wiem skazani jesteśmy na
Ziemi, nie możemy zaobserwo-
wać ewentualnego zbiegania
się prostych, na pozór równo-
ległych, a tym samym nie
możemy reczyć za „równoleg-
łość jakichkolwiek prostych.”

Tak, ale z tą chwilą upada
przede wszystkim twierdze-
nie o sumie kątów trójkąta,
ba, cała geometria „euklide-
sowa” rozsypuje się jak do-
mek z kart. Praktyka ziem-
ska uznaje jednak tę geo-
metrię za wystarczającą jak
na jej potrzeby, ale dla orien-
tacji w ogromnych przestrze-
niach kosmicznych musiałby
wyrószyć inne geometrie
„nieeuklidesowe”, jak geo-
metria Łobaczewskiego. Ten
przykład poucza, jak odrzu-
cenie pewnego, nawet „naj-
oczywistszego” ze stanowiska

W wyobrażeniu wielu ludzi matematyka jest nauką
zamkniętą i skończoną. Przy uznawaniu świet-
ności jej metod i niewzruszalności jej praw, pokutuje
pogląd, że matematyka jakoby wypowiedziała już swe
ostatnie słowo i że dalsze jej wysiłki, podejmowane
współcześnie lub nawet w najdalszej przyszłości, mo-
gą iść tylko w kierunku pogłębienia osiągnięć do-
tychczasowych. Nic fałszywszego nad takie mniema-
nie. Mimo swych kilku tysięcy lat trwania, matema-
tyka ma wszelkie cechy żywego organizmu, rozwija-
jącego się i komplikującego swe umiejętności i czyn-
ności.

kontroli zmysłów, założenia
ograniczającego (...można
przeprowadzić tylko jedną
równoległą...), zawieszę w
próżni całe łańcuchy mate-
matycznych twierdzeń, bo
dowody ich czyni zupełnie
niemożliwymi do przepro-
wadzenia.

W Biblii obliczano „pi”

Z drugiej strony szereg za-
gadnień, w swoim czasie,
„nierozwiązalnych” odegrał
rolę „spiritus movens” — po-
budzającego technię dla
rozwoju matematyki. Liczby
niewymierne, znane dziś kil-
kusetleciom temu, wyko-
nyły się w związku ze stu-
diami na wspólną miarę dla
boku i przekątnej kwadratu,
kwadratura koła — „enfant
terrible” przez tysiąclecia
trwania matematyki, dała im-
puls do powstania w rękach
Newtona rachunku różnicz-
kowego i całkowego, stano-
wiących kamienie węgielne
współczesnej analizy mate-
matycznej. W Biblii znajduje
się wzmianka o „morzu na
10 łokci od brzegu do brzegu,
którego okrag otaczał sznur
na 30 łokci”. Zważywszy, że
morze to „lane było w koło”,
mamy podstawę przyjąć ten
passus za ówkie wiedzy ma-
tematycznej ówczesnych, wy-
kładając go językiem współ-
czesnym: obwód koła jest
trzy razy większy od jego
średnicy. Jest to jedno z naj-
starszych „wcielen” liczby
„pi” (π). Egipcjanie popra-
wiają tę wartość „pi” na 3,16,
Archimedes na 3,14, Ceulen

w roku 1610 wyznacza 35
miejsc po przecinku, Shanks
nawet 707 miejsc, ale to już
i koniec. Następnymi fana-
tyków w przybliżaniu liczby
„pi” ostudzili dopiero na do-
bre matematycy Lambert
(1770) i Lindemann (1882),
przeprowadzając niezbite do-
woody „niewymierności” tej
liczby i niemożliwości ściślej
zamiany koła na prostokąt
o równym polu.

Watt się nie przejmował

Zdawałoby się, że mamy
przed sobą klasyczny pro-
blem nierozwiązalny. Tym-
czasem jest on nierozwiąza-
ny tylko w znaczeniu zasto-
sowanej tu metody. Dokład-
ność Ceulena pozwala nam
bowiem obliczyć kraniec wi-
dzialnego wszechświata z ta-
ką precyzją, na jaką nie po-
zwalały obserwatorowi na-
wet najdoskonalsze... mikro-
skopy. Przy toczeniu cylin-
drow i tloków do najlepszych
samolotów przyjmuje się liczbę
„pi” na 3,1416, a więc tak
samo jak robił to konstruk-
tor maszyn Tsu Chung Chih...
prawie 1500 lat temu. James
Watt pisał w roku 1769 z
chełpliwością do swego przy-
jaciela, że udało mu się cy-
linder i tloek maszyn wyto-
czyć i dopasować „dokładnie”
na... luz jednej monety. Mi-
mo tej pogardy Watta dla bo-
jów matematyki o dokładną
wartość liczby „pi”, jego ma-
szyna parowa — działała, a
nawet jeszcze dziś w muzeum
budzi się ją raz po raz z
drzemki dla wzbudzenia sen-
sacji wśród snobów — w cy-
lindrach na głowie. Tak więc
ten problem liczby „pi” za-
dawała swym ujęciem naj-
wybredniejsze wymagania
techniki, chociaż uparta licz-
ba wymknęła się matematy-
kom, najprawdopodobniej na
zawsze. Nie przeszkadza to
mianom podnosić przeciw
liczbie „pi” nadal oręza do-
ciekliwości. Kongres matema-
tyków w Zurychu przed 22
laty był widowiskiem demon-
stracji pewnego fanatyka,
który na sali obrad kolporto-
wał ulotki z zapowiedzią zna-
lezenia kwadratury koła.

Kąt ma trzy części podziałów

Sprawę rozwiązalności czy
nierozwiązalności problemu
matematycznego w sensie
obranej metody, można
dalej zilustrować na przykła-
dzie „trysekcji” kąta, czyli po-
dzielenia go ściśłego na 3 rów-
ne części tylko przy użyciu
cyrki i liniału. Matematyka
nie zna tej ściślej metody.
Tymczasem krawiec niemiec-
ki Kopf zaproponował meto-
dę przybliżoną, która kon-
strukcję obarcza błędem nie
większym od 10 minut kąt-
owych, co dla potrzeb prakty-
ki jest aż nadto wystarczają-
ce. Matematyka nie zna też
ściślej metody rozwiązywania
równań wyższych stopni przy
pomocy wzorów. Ale praktycy
nie korzystamy z metody
przybliżonej, mimo stwierdze-
nia przez norweskiego matema-
tyka Abela, że metoda ściś-
ła jest nieosiągalna.

Istnieje jednak grupa pro-
blemów, których rozwiązanie,
dotąd nie uzyskane, jest na-
głąca potrzebą techniki lub
hamuje postęp nauk innych.
Sięgniemy do takich przykła-
dów. Oto problem idealnego
„profilu aerodynamicznego”,
tak ważne w dobie samolo-
tów odrzutowych, poruszają-
cych się z prędkością nad-
dźwiękową, a także dla sa-
molotów i okrętów. Technice
potrzebny jest nagle ściś-
ły przepis na taki kształt
poruszającego się „ciała”,
przy którym opór, stawiany
przez „środek” (powietrze
czy wodę) jest możliwie naj-
mniejszy. Jeżeli przyjmiemy

że przy 2-krotnym zwiększe-
niu prędkości opór rośnie 4
razy, czyli w stosunku kwa-
dratowym do prędkości, to
matematyka rozwiązuje pro-
blem, czerpiąc wskazówki z
metod rachunku całkowego
i wariacyjnego. Powstawanie
wirów za poruszającym się
ciałem, rozgrzewanie się o-
środków i inne czynniki, nie
dające się wdrożyć w rygor
wzorów, sprawiają, że roz-
wiązanie matematyczne „pro-
filu aerodynamicznego” jest
tylko połowiczne. Konstruk-
torzy zasięgają więc opinii
matematyków, ale muszą u-
ciekać się jeszcze do metody
doświadczalnej stosowania
prób z modelem w tunelu ae-
rodynamicznym. Okrepty pro-
filuje się więc wprawdzie
wzorem matematycznym na...
papierze, ale dopiero po pró-
bie z modelem parafinowym
w „tunelu” przystępują tra-
serzy do pracy. Zauważmy,
jak trudno czasem proste zja-
wisko przyrody zapisać wniki-
łym językiem matematyki.
Wystarczyłoby przecież pod-
patrzyć spadającą kroplę wo-
dy i opisać jej kształt przy
pomocy wzoru. Okazuje się,
że nie jest to takie proste, je-
śli chcemy uwzględnić wszy-
stko.

Kłopoty z ciążeniem mas

W astronomii fundamen-
talne jest, jak wiadomo, pra-
wo powszechnego ciążenia,
sformułowane przez Newto-
na, głoszące o przyciąganiu
się wszelkich dwóch mas.
Tymczasem wyobraźmy so-
bie trzy ciążące masy: Słońca,
Księżycę i Ziemię. Przy pomocy
równań różniczkowych matema-
tyka przystępuje do tego za-
gadnienia, obliczenia torów i
zmiany położenia mas, pokonując
wielkie trudności. Matematyk
fiński Sundman opracował
tu metodę „szeregów” nie-
skończonych, która jednak
praktycznie nie zdaje egzami-
nu. W przypadku ciążących
bardzo wielu mas sta-
jemy wobec „problemu mas”,
komplikujującego się niesły-
chanie z każdą następną ma-
są, dołączającą się do roz-
ważanego układu. Wprawdzie
Sokrates w jednym z dialo-
gów platońskich wyraża de-
zyderat, aby „w astronomii i
geometrii zajmować się pro-
blemami, a niebo zostawić w
spokoju”, ale oznaczaloby to
minimalizm poznawczy: po-
stawienie przed nauką płotu,
przez który nie wolno jej
spojrzeć, a już wcale prze-
skoczyć. Kiedy na podsta-
wie perturbacji (zakłóceń w
ruchu) jednej z planet, ma-
tematyka określiła położenie
i orzełka o istnieniu niezna-
nej dotąd planety, wypre-
dzając zasięg gigantycznych
teleskopów, Sokrates, gdy-
by wtedy żył, zdobyłby się
na pewno na błyskotliwą po-
chwale...

Nie będzie przesadą zdanie,
że rozwój języka ilości, jakim
jest matematyka, pozwała,
jak w zwierciadle cywilizacji,
dostrzegać piękną dążność
ludzkiego umysłu do najlep-
szego ujęcia obiektywnej rze-
czywistości, umożliwiającego
tym samym pochod nauk i
zdobycze praktyki.

Sianokosy na dnie morza

Od dawien dawna mieszkań-
cy wysp żyli w wodzie. Na
przykład na Wyspach
Hawajskich przyrządza się z
wodorostów 60 rozmaitych po-
praw. Niektóre odmiany wodo-
rośców, jak kapusta morska i
sałata morska, jeszcze teraz za-
stępują warzywa.

Flora mórz i oceanów służy
nie tylko jako pożywienie, ale
znajduje też szerokie zastoso-
wanie w przemyśle włókienni-
czym i spożywczym, w kosme-
tyce i fotografice. Może też
być wykorzystana w hodowli
bydła. Tak zwana „północna
pasza kombinowana”, dla by-
dła rogatego, szeroko stosowa-
na przez kolchozy położone na
wybrzeżu Morza Białego, za-
wiera około 80 proc. wodoros-
tów.

Uczni radzieccy — pracow-
nicy naukowcy Instytutu Polar-
nego Rolnictwa i Hodowli po-
stanowili zająć się tą sprawą.
Okazało się, że sprzęt „pionów”

NIE MA ŚNIEGU? NIC NIE SZKODZI!

Wielkie zmartwienie, które na-
leży już do przeszłości. Od wielu
lat daremnie szukali narciarze
sposobu na uprawianie treningu
skoków w okresach bezśnież-
nych. Wszystkie środki jak sio-
ma, szczyt, igliwie, maty koko-
sowe, sól i szare mydło — oka-
zały się mało celowe. Skoczek
uzyskiwał zaledwie 20 metrów
długości, a więc naprawdę bar-
dzo mało.

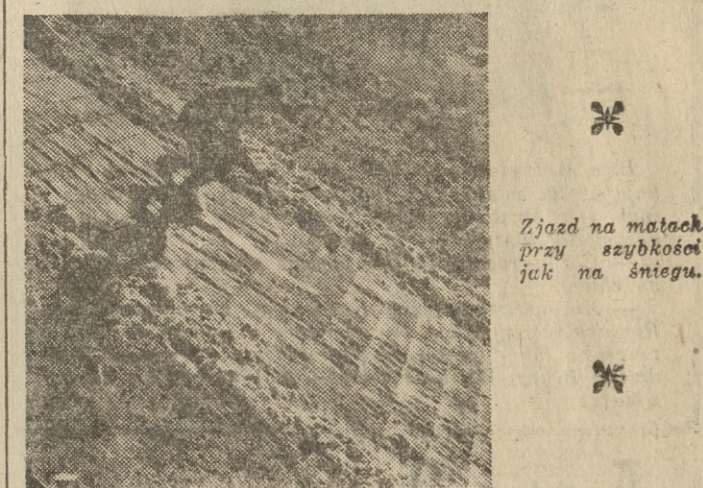
Skończyły się kłopoty; po dłu-
gich i mozolnych doświadcze-
niach udało się byłemu skoczko-
wi i obecnemu trenerowi nar-
ciarskiemu w NRD, Hansowi
Rennerowi — przy współpracy
naukowców-chemików — wytwó-
żyć matę ze specjalnej masy
syntetycznej, nazwanej PVC.
Skrapia się je wodą, a „deski”
naciera przystosowaną masą.

Efekt? Na skoczni w Oberhof
(dla juniorów) Werner Lesser II
(SC Motor) uzyskał 48 m, a w
skoku próbnym wcale nieżył wy-
nik 42 m.

Rząd Niemieckiej Republiki
Demokratycznej wyasygnował 40
tysięcy marek na realizację kil-
ku takich skoczni.



Narciarze NRD nie znajdują
łóż podłogi dla wynalazcy,
dzięki któremu narciarstwo prze-
stało być tylko sportem zimo-
wym. (n)



Zjazd na matach
przez szybkości
jak na śniegu.

Szczęśliwy wy-
nalazca (po le-
wej) przyjmuje
gratulacje zna-
nych narciarzy,
Sepp Weiter (po
prawej) bawar-
ski „król skocz-
ków” powiedział:
„zachwytem;
Jestem tak za-
skoczony, że wie-
rzyłem nie chce mi
się. To jest coś
wspaniałego”.



SHOCKING

(Dokończenie ze str. 2)

pragmatyzmu, pisał wprost:
„Era demokracji skończyła
się”. A pragmatysta Dewey,
którego niedawno fetowała La-
bour Party i Saragat z okazji
90-lecia, zwany przez propa-
gandę „apostolem kultury za-
chodniej i amerykańskim Mar-
ksem” (?), tak sądził: „Wojow-
ność jest częścią składową
ludzkiej natury. Przemoc, zwy-
kła fizyczna przemoc, jest ko-
niec końców środkiem rokuja-
cym największe nadzieje”.

Najlepsze świadectwo wysta-
wił pragmatyzmowi... Musso-
lini. Oto autentyczne wypo-
wiedź twórcy faszyzmu: „Pra-
gmatyzm był mi bardzo pomoc-
ny w mojej karierze politycz-
nej. Nauczył mnie, że działa-

nie powinno być oceniane ra-
czej według swoich rezulta-
tów, niż według swej podsta-
wy doktrynalnej. Nauczyłem
się od pragmatyzmu tej wтары
w działanie, tej gorącej woli
życia i walki, której faszyzm
zawdzięcza ogromną część
swoich sukcesów. Najważniej-
sze było dla mnie — działać!”.

Jak to się skończyło dla
Mussoliniego i dla faszyzmu,
wemy z historii ubiegłej woj-
ny.

Poza Ameryką pragmatyzm
nie przyjął się nigdzie. Ber-
trand Russel zdyskwaliłkował
go w Anglii jako „shocking”,
w którym — pod przykrywką
rzekomego demokratyzmu —
znalazły wyraz brak kultury i
brutalność młodego imperia-
lizmu amerykańskiego.

Pragmatyzm świadczy w
rzeczywistości jedynie o sker-
leniu myśli burżuazyjnej w
służbie imperialistów. Pra-
gmatyści lubią nazywać swoją
filozofię — humanizmem, ale
jaką rolę przeznaczone w tym
„humanizmie” człowiekowi?
Pragmatyści każą mu wyrzec
się logiki, rozumu i prawdzi-
wej nauki, a także ideałów
wolności i równości, po to, aby
mógł się w „strumieniu świa-
domości”. Pragmatyzm jest
symbolem tej Ameryki, którą
reprezentuje Mac Carthy.

Prawdziwy humanizm robot-
niczy widzi swój sens w walce
o obalenie stosunków, które
poniżają i krepują człowieka.
Ma zaufanie do jego rozumu i
działności, a twórcę losu upa-
truje w samego człowieka.

WIDZ.



Jednym z najciekawszych zabytków architektury bułgarskiej
stolicy jest monumentalny gmach cerkwi „Aleksander
Newski”.

zostanie też wypad do odleg-
łej o 10 km Bojany, na zbo-
czu gór Witosza, kryjącej
cenny zabytek sztuki — cer-
kiewkę św. Pantelejmona z
XI wieku. Z Bojany nie chce
się wracać, tak doskonale
tam powietrze i prześliczny
widok na całą sofijską dolinę,
zamkniętą na horyzoncie
pasmem Starej Planiny. Do-
dajmy do tego jeszcze spacer
po Muzeum Etnograficznym,
galerii malarstwa i wystawie
„10-lecie władzy ludowej w
Bułgarii”, dodajmy wizytę w
Mauzoleum Dymitrowa (seki
osób ogląda codziennie spo-
czywające w szklanej trum-
nie ciało wodza ludu bułgar-
skiego) — i oto bogaty w wra-
żenia dzień prawie dobiega
końca.

Ostatnie godziny

Finałem jest „wizytacja
się” do opery na „Borysa Go-
dunowa”. Więcej chodzi zre-
szta o zobaczenie wnętrza tego
nowowypudowanego gma-
chu, niż o samą sztukę. Po-
znany przygodnie sąsiad, ofi-
cer bułgarski, oprowadza
mnie w przerwie po koryta-
rzu i hallach rozległego gma-
chu. Wszędzie aż łni od
wielokolorowych marmurów,
złocen i ozdób. Teatr, oddany
do użytku w dziesięciolecie
ludowej Bułgarii, posiada
131 wygodnych miejsc na
widowni, wspaniałe wyposa-
żoną scenę, palarnię i bufe-
ty. Pod gmachem — obrzy-
mia restauracja i kawiarnia.

JULIAN MIKOŁAJCZAK

Babcia zwycięża Saturna

Młody literat napisał pewnego razu naukowo-fantastyczną opowieść dla młodzieży w wieku od lat 8 do 16. Opowiedział w niej o niezwykle ciekawej podróży kilkunastoletniego chłopca na daleką, zagadkową planetę Saturn.

Rękopis znalazł się w wydawnictwie i jeden z jego redaktorów powiedział: „Na Saturna? W taką nieznana dal...? Co też ci literaci mają za pomysły... Czyż nie właściwiej byłoby na Księżyc?”

Przecież to jest bardziej realne!”

Literat przerobił swą opowieść i z kolei oddano ją do recenzji pewnemu fachowcowi od podróży międzyplanetarnych. Ten załamał ręce: „Co, na Księżyc? W żadnym wypadku... Zbyt mało prawdopodobne! Jeszcze wiele lat upłynie, zanim człowiek pokusi się tam wystartować... Chłopiec może najwyżej odbyć lot do stratosfery...”

Literat przerobił opowieść po raz wtóry i rękopis dostał

się na biurko naczelnego redaktora: „Do stratosfery...? Jak można chłopca zabierać z sobą do stratosfery? Pytanie — czy latał on w ogóle zwykłym samolotem?”

Literat zabrał się po raz trzeci do przerobienia swej opowieści. Zdeteterminowany, postanowił wyprawić swego chłopca na wycieczkę tramwajem.

Pedagog, któremu pokazał nową wersję opowieści, kiwał głową. Tramwajem? Wykluczone. A co będzie, gdy chłopiec pokusi się na przykład jechać na stopniu...? Nie! Stanowczo nie tramwajem...

Tym razem literat długo się zastanawiał. Zniszczył ma nuskrypt i zabrał się do pisanja na nowo. Opowiedział więc piórem, jak pewien dobrze wychowany chłopiec, po ukończeniu zadanych lekcji, wybrał się na przechadzkę do parku podmiejskiego w towarzystwie babki. Był piękny wieczór, niebo wygwieżdżone, a daleko migotała zimna i tajemnicza planeta Saturn.

Jak się okazało, nowa wersja opowieści podobała się bez wyjątku wszystkim: naczelnemu redaktorowi wydawnictwa, recenzentom-specjalistom, wszystkim redaktorom oraz pedagogom.

Z wyjątkiem, oczywiście — młodzieży...



Rys. H. Derwich

W Karlsruhe odbywa się prowokacyjny proces przedwko Komunistycznej Partii Niemiec. Wielu członków trybunału ma za sobą hitlerowską przeszłość.

Aaa... Takie buty!...



Dwa niedźwiedzie uciekły z Ogrodu Zoologicznego i błąkają się po mieście. Po tygodniu spotykają się. Jeden z nich jest strasznie wychudzony, drugi — przeciwnie, doskonale tuczy.

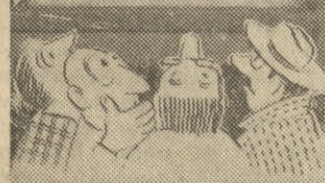
— Co ty robisz, że tak pięknie wyglądasz? — pyta go chudy.

— Nic nadzwyczajnego. Każdego ranka idę przed Dom Rzemiosła przy ulicy Niezłomnych i zjadam jednego z prezesów lub dyrektorów Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Pracy. Wyobraź sobie — nawet tego nie zauważono...

A to co?

Spójrzcie uważnie na tę fotografię i zgadnijcie czy ona przedstawia:

CB / A
D IAL =
W. PO N NIU
A E —
MARC OW
I O



- rebus?
- tablicę w gabinecie okulisty?
- wzornik liter graficznych?

W Poznaniu...
przy al. Stalingradzkiej w przed Domem Akademickim dzimny tablicę umieszczoną ani trzeci. Na zdjęciu w...
ani jedno, ani drugie.
Odpowiedź:

UWAGA CZYTELNICY! Za praszamy Was do współpracy! Nadsyłajcie fotografie do rubryki „A to co?” — Jeżeli nie możecie przesłać zdjęcia, napiszcie nam, gdzie pokutują okazy nadające się do rubryki „A to co?”. Za najlepsze zdjęcia lub korespondencje autorzy otrzymają specjalną nagrodę.

— Myślę, kochanie, że ta będzie dla nas odpowiedniejsza...



fraszki POZNAŃSKIE

Poznańskie Koziołki

W ubiegłą sobotę w Klubie Związku Prac. Kultury odbyła się premiera nowozałożonego kabaretu pod nazwą „Poznańskie Koziołki”.

Niejeden purytanin za głowę się złapie;
Kabaret? Na naszym etapie??
Wyjaśnię: kabarety nie są niebezpieczne,
Przecież mamy dzisiaj także bary mleczne...

K. DOBBERSCHUTZ

O pewnym śpiewaku

To bardzo zdolny jest artysta —
zna go już Poznań, oczywista!
Głos ma spiżowy, wdzik — jak rzadko —
aż patrzeć miło, słuchać hadko...

Ciekawy moment w onej sprawie
że, owszem — śpiewa, lecz w Warszawie.

WŁ. SCISŁOWSKI



— No, już wielki czas, abyś wreszcie poszedł do dentysty...

(„Eulenspiegel“)

ODA do CIOCI

Lubię pasjami gęsinę,
gąsiątko — czasami też.
Zrazy ze smakiem zawinę,
zając — to też dobry zwierz.

Lecz choć na wety — kotlety
i wilczy apetyt choć,
Strawić nie mogę niestety
naszych domowych cioci!

Rano człapie pantoflami
dzienny zaczynając start.
Losie — zmiłuj się nad nami!
Cóż świat w oczach cioci wart?

Zna każdego, wie już wszystko,
że ta z owym — z tamtą ów,
płynie mętne potoczysko
słów zjadliwych, wstrętnych słów.

Koleżanek ma ze dwieście.
Przyjaciółkę jedną — ba!
Kiedy gadać skończy wreszcie
nieśmiertelna baba ta?!

„Będzie wojna, ani słowa,
aż przenika ciłka dreszcz!
Wojna — pani — atomowa...“
Wrzeszcz — ciociniuniu sobie — wrzeszcz...

Potem siada przy kawusi,
Znowu plotka słodka trwa.
Myślisz: może się udusi?
Gdzie tam, gdzie tam, ale ba...

Lubię miłe, starsze panie,
dobry uśmiech starszych pań,
Ale ciotka? — To skranie,
ciotka-plotka, ciotka-drań!

STANISŁAW KROKOWSKI

